

## Przygoda z niemieckim uniwersalizmem

Tak się akurat złożyło, że kawałek tegorocznej jesieni (mglistej i błotnistej w Bieszczadach) mogłem znów spędzić w Sienie – jedynym chyba mieście, w którym od dawna mam szczególne upodobanie, i które znam równie dobrze jak mój rodzinny (tak bardzo popsuty ostatnimi czasy) Gawronów.

Pierwszy raz przyjechałem tam jakieś ćwierć wieku temu, zwabiony z jednej strony legendą wyjątkowości sieneńskiego republikanizmu, którego sławną ikoną są freski o dobrych i złych rządach Ambrogia Lorenzettiego, a z drugiej – historycznym fenomenem miasta, będącego w Italii przez wieki, na przekór wszelkim okolicznościom, ostoją cesarskiej idei paneuropejskiego uniwersalizmu. Ale kiedy już pierwszy raz znalazłem się w Sienie, oczywiście z „Barbarzyńcą w ogrodzie” w plecaku (który zresztą, z czasem okazał się mylącym przewodnikiem), oba główne powody tamtej eskapady zeszły na drugi plan, bo odkryłem niespodziewanie coś, co mnie zafascynowało i fascynuje do dziś dnia, a nawet wywarło spory wpływ na moją duchowość i pojmowanie piękna. To była sztuka sieneńska, przede wszystkim ta z czasu Trecenta, która sprawiła, iż potem przez lata powracałem do Sieny z uporem maniaka, tylko po to, aby choć odrobinę pogłębić moje prywatne i amatorskie studia, czy to nad Madonnami Simone Martiniego, czy to poliptykami Giovanniego di Paolo. Goethe w swych listach z Włoch celnie określał sens takich podróży, jako „kształcenie oka”.

Tym razem wróciłem do Sieny po paru latach nieobecności, zatrzymując się w dzielnicy Camolia, tuż koło domu rodzinnego i sanktuarium św. Katarzyny. Wychodząc z domu, musiałem przechodzić wzdłuż bocznej ściany pałacu plutokratycznej rodziny Spannocchi, chyba dawno wymarłej, przejętego przez równie stary, co słynący z korupcji bank Monte dei Paschi. I zapewne właśnie dlatego po raz pierwszy zwróciłem uwagę na wmurowaną w ową boczną ścianę pałacu, starą z wyglądu i trochę już zatartą tablicę, upamiętniającą dramatyczne okoliczności upadku Rzeczypospolitej Sienneńskiej w połowie XVI wieku. Z tej tablicy się dowiedziałem, że to właśnie w Palazzo Spannocchi, a nie w ratuszu, mieściła się kwatera główna Piera Strozzięgo, dowodzącego obywatelską milicją i armią podczas desperackiej, ale i patetycznej obrony miasta przed oblężeniem cesarsko-florenckim z lat 1553-1555. Oblężeniem, które zapisało się we włoskich dziejach jakimiś zupełnie przerażającymi okrucieństwami (np. z głodującego miasta próbowano odesłać kobiety i dzieci, ale cesarscy obcięli im ręce i uszy, po czym zagonili z powrotem do bram), a zakończyło się nie tylko historyczną klęską republikanizmu sienneńskiego, ale również upadkiem kwitnącego dotąd i kluczowego w europejskiej polityce miasta, z którego na dobrą sprawę nie podniosło się ono już nigdy. Śmiertelni wrogowie Sieny – florencko-papiescy Medyceusze inkorporowali Sienę do swego Wielkiego Księstwa Toskanii, traktując znienawidzone miasto jako terytorium okupowane. A Siena, sprowadzona do roli prowincjonalnego miasteczka i do dzisiaj odcięta od głównych szlaków komunikacyjnych prowadzących z Florencji do Rzymu, faktowi tej okupacji zawdzięcza też swoje współczesne gotyckie, mocno zapuszczone i trochę smutne piękno.

Dlaczego o tym wszystkim piszę? Bo zarówno trwająca przez kilka stuleci wielkość republikanizmu sienneńskiego, jak i jego dramatyczny upadek – to polityczny owoc ścisłej więzi Rzeczypospolitej Sienneńskiej z ideologią niemieckiego uniwersalizmu. A nawet więcej...bo niemiecki uniwersalizm stał się tak naprawdę jednym z dwóch filarów sienneńskiej doktryny państwowej, obok politycznego kultu maryjnego. Odkąd w XIII wieku miasto proklamowało *Madonnę dagli occhi grossi* (z wizerunku zachowanego w katedralnym muzeum) Królową Sieny, oficjalnie Rzeczpospolita uznawała tylko te dwa rodzaje politycznego zwierzchnictwa nad sobą: najwyższe – Madonny i w pewnym sensie równoległe – niemieckiego cesarza. O ratunek dla miasta we wszystkich nieszczęściach (a tych największych było cztery: głód, zaraza, Florencja i papież) władze oficjalnie występowały do tych dwojga uznawanych suwerenów. Gdy idzie o Madonnę, znalazło to wyraz w oficjalnej nazwie Rzeczypospolitej: *Sena Vetus Civitas Virginis*. A rodzaj tej relacji dobrze obrazuje teologiczno-polityczny obraz Sana di Pietro (skądinąd ulubionego malarza Iwaszkiewicza), zachowany w Pinakotece, przedstawiający swoisty akt ustrojowy, w którym wobec plagi głodu sienneńska Signoria zwraca się o interwencję do swej Królowej, ta zaś przekazuje dopiero prośbę papieżowi, który na Jej wniosek wysyła do Sieny muły objuczone workami z mąką. Madonna, albo raczej królująca Maesta, staje się w związku z tym już w czasach Trecenta najważniejszym typem ikonograficznym sztuki sienneńskiej. A unikalny kunszt i świetność tych przedstawień, autorstwa takich choćby twórców, jak genialny Martini, jego uczeń Memmi, czy bracia Lorenzetti, bierze się stąd, iż są to z jednej strony wizerunki święte, niczym średniowieczne ikony, przed którymi można (albo i trzeba) się modlić, a zarazem przedstawiają niezwyklej piękności i elegancji damy tamtego czasu. Tego niedoścignętego *iunctim* kobiecego sacrum i

profanum sztuka europejska nie poznała już nigdy potem, a Rafaelowskie wyidealizowane piękności, owszem, mogą budzić podziw i pożądanie, ale w żadnym razie nie wzywają już do modlitwy.

Relacja z niemieckim cesarzem była oczywiście bardziej zawiła, bo uwikłana w czysto polityczne interesy. Ale na dobrą sprawę Siena w ogóle wstępuje na europejską arenę dziejów dzięki Manfredowi Hohenstaufowi, który daje miastu niemiecką załogę, rozbijającą w pył i proch florenckiego agresora w legendarnej bitwie na polach Montaperti w 1260 roku. Z geopolitycznej perspektywy to naturalne, że Siena, ustawicznie zagrożona od północy imperializmem florenckim, a od południa – papieskim, znajdowała podporę w każdorazowym królu niemieckim, który z kolei potrzebował mocnego i wiernego punktu oparcia na swej drodze do Rzymu po cesarską koronę. Ale w tym tak mocnym gibelinizmie sieneńskim było jeszcze coś więcej: Siena chciała za wszelką cenę zachować swój wolnościowy republikanizm, a to było możliwe wyłącznie w warunkach miękkiego i zdecentralizowanego ustroju Świętego Cesarstwa. Dante, który kochał i zarazem nienawidził swoją gwelfowską ojczyznę – Florencję, bo ta ustawicznie wadziła cesarzom niemieckim, miałby więcej szczęścia, gdyby urodził się Sieneńczykiem, bo to w Sienie właśnie, z której kpił sobie aż dwukrotnie w „Komedii” z racji słynnej skłonności Sieneńczyków do tromtadracji i megalomanii, prawdziwie i głęboko podzielano jego gibelińskie, wolnościowe, uniwersalistyczne ideały polityczne.

Ale paradoks sieneńskiego gibelinizmu tkwi w tym, że ów uznawany i ukochany przez Sieneńczyków niemiecki cesarz co rusz sprawiał miastu paskudne psikusy. W XIV wieku miasto z nieprawdopodobnym przepychem dwukrotnie witało Karola IV Luksemburskiego (tego

ukochanego także przez Czechów). Ale kiedy za drugim cesarskim pobytem okazało się, iż niemiecki władca szuka w Italii głównie pieniędzy na prowadzone wojny i kosztowne inwestycje w Pradze, więc postanowił za dużą kwotę... odsprzedać Sienę wrogiemu papieżowi, mieszczaństwo wraz z rzemieślnikami podniosło bunt, wyrznęło niemiecką załogę, a sam cesarz uciekł do ufortyfikowanego pałacu magnata Salimbeniego, gdzie w końcu jednak lud wziął go głodem. Dopiero wtedy powrócić mogła na nowo polityczna przyjaźń pomiędzy miastem i cesarstwem, a Karol już nie tylko Sieny nie sprzedawał, ale udzielił jej (oczywiście za duże pieniądze) bezcennego przywileju bezpośredniej zależności Signorii sienneńskiej od cesarza, co w praktyce oznaczało realną suwerenność.

Ale druga podobna przygoda z niemieckim uniwersalizmem skończyła się wspomnianą katastrofą zarówno sienneńskiej wolności, jak i samego miasta. W XVI wieku Siena miała już do czynienia z władcą nowego typu, a przy tym politycznym geniuszem – Karolem V Habsburgiem. Cesarz, budujący właśnie najrozleglejsze imperium chrześcijańskie w dziejach, nie mógł zdzierżyć anarchiczności rządów ludu sienneńskiego, ustawicznych przewrotów i zdumiewającego jak na tamte czasy systemu rywalizujących o władzę partii politycznych. Kazał więc swemu hiszpańskiemu komendantowi miasta wznieść w pobliżu katedry... cytadelę, z której można by ostrzeliwać miasto w razie niepokojów. Sienneńczycy i tym razem podnieśli bunt, a na pomoc – na swoją zgubę – wezwali Francuzów. Cesarskich częściowo wybito, a częściowo wypędzono z miasta, zaś Siena posłała do Karola deputację błagalną, przypominając mu o odwiecznej gibelińskiej wierności miasta niemieckiemu władcy, prosząc tylko o nie upokarzanie go wznoszeniem cytadeli. Habsburg deputację wyrzucił, po czym dał swoich niemieckich landsknechtów śmiertelnemu wrogowi Sieny – Medyceuszowi, aby ten miasto podbił i dołączył do swych tokańskich włości. To wtedy właśnie

działy się w Sienie te straszne sceny z czasu oblężenia. Tak, to prawda, że niemiecki paneuropejski uniwersalizm w XIII wieku dał życie, wolność i potęgę miastu, które mogło rozkwitnąć, wnosząc w dzieje Europy najbardziej uduchowioną sztukę i najszlachetniejszy rodzaj republikanizmu. Ale trzy wieki później ten sam niemiecki uniwersalizm zdruzgotał tę niezwykłą Rzeczpospolitą, gdy w XVI wieku nastął czas książąt, tyranów i władzy bardziej scentralizowanej. Nie ma w Europie lepszego niżli Siena dowodu na to, że przygoda z niemieckim uniwersalizmem może być niczym zbawienny uśmiech losu, lecz zawsze niesie też ze sobą niepomierne polityczne ryzyko.

*Jan Rokita*